

Śpiewy wśród kruzganków

Dorota Szwarcman

Już od dawna byłam ciekawa, jak to jest na koncertach wokalnych na dziedzińcu Wawelu, które co roku Opera Krakowska organizuje w ramach swojego letniego festiwalu. No i zobaczyłam – bardzo sympatyczna impreza.

Przede wszystkim nie spodziewałam się, że to takie gigantyczne koncerty. Ten trwał trzy godziny, z przerwą i bisem. Jak porządny spektakl. Mówi to o znakomitej kondycji kwartetu solistów, którzy wciąż się wymieniali, ciężko pracowali solo, w duetach (wszystkie możliwe kombinacje) i wreszcie, na finał w kwartecie. A jeszcze trzeba było się popisywać, wyśpiewywać koloratury, różne tam wysokie c (powiedzmy, że inne dźwięki) i trochę użyć też aktorstwa, zwłaszcza w scenkach. Że nie wspomnę o szybkim przebieraniu – na każde wyjście była inna kreacja.

Bardzo udane było dziś śpiewanie. Wspomniane koloratury można było usłyszeć oczywiście przede wszystkim w wykonaniu Katarzyny Oleś-Blachy, której są specjalnością. Była m.in. *Lucja* w arii z I aktu i w duecie z Enrikiem (Ruciński), było brawurowe *Martern aller Arten* z *Urowadzenia z seraju* i popisowe *Les filles de Cadix* Delibesa. Iwona Socha pokazała, że leży jej raczej belcanto; słodziutkie było zwłaszcza *O mio babbino caro*.

Znakomicie zaprezentował się Arnold Rutkowski, który poza namiętnymi duetami miał pole do popisu w takich przebojach jak *Nessun dorma* czy pod koniec, w części trochę lżejszej, *Granada*. Ale szczególnie wielką przyjemność miało się ze słuchania Artura Rucińskiego, który rozpoczął koncert pięknym *O du mein holder Abendstern* z *Tannhausera*, przypomniał też arię Jeleckiego z *Damy pikowej* i z humorem zaśpiewał pod koniec *Non ti scordar di me*. Wybitny po prostu był duet obu panów z *Don Carlota*. Już się cieszę na premierę *Oniegina* w Operze Wrocławskiej podobno w przyszłym sezonie, gdzie mają się również spotkać (tak mi powiedział Marcin Nałęcz-Niesiołowski, który ma dyrygować tą premierą).

Dziedziniec był wypełniony publicznością. Bardzo przyjemny nastrój był w tym czasie zachodzącego słońca, a później, gdy się już ściemniło, kolory szalały po kruzgankach, ale nie przesadnie. Nagłośnienie sprawiało chwilami kłopoty (śpiewacy z mikroportami; wzmocnienie raz wyraźnie się zacięło przy duecie obu pań z *Wesela Figara*), czasem coś trzeszczało w głośnikach, ale ogólnie słuchało się miło.

W poprzednim wpisie wspominałam, co się dzieje latem w Warszawie. W Stołecznym Królewskim Mieście Krakowie dzieje się nie mniej bynajmniej. W tym roku większość imprez poważkowych połączyła siły w takim przedsięwzięciu; nie bardzo wiem, co im to daje, ale widać coś daje. Do Theatrum Musicum nie wpisała się Muzyka w Starym Krakowie, i jej być może też to coś daje... W każdym razie też nie można się tu nudzić. A jutro rozpoczyna się kolejna edycja Festiwalu Kultury Żydowskiej.



Wacław Krupiński

Pytania wywołane przez żonę

Agdzie są kamery telewizyjne? – zapytała, rozglądając się żona. Brak cienia ironii w jej głosie z lekka mnie zaniepokoił. Byłaby aż tak naiwna? A później w przerwie usłyszałem, jak jakaś pani mówi z wyczuwalną irytacją w głosie: „Tak piękny koncert, w tak magicznym miejscu, czyż nie powinien być transmitowany przez telewizję?!”. A więc może pytanie żony nie było tak całkiem bez sensu, może i więcej osób spośród tysiąca, które owacją na stojąco dziękowały za ów piękny wieczór, zadawało je, adresując w rozgwieżdzone nad wawelskim wzgórzem niebo? Bo do kogo? Do szefów TVP? Serwujących non stop kabaretową szmirę dla kretynów?

„Arie oper świata” na Dzieńdzinicy Arkadowym Wawelu przygotowała Opera Krakow-

ska już tradycyjnie w ramach swego corocznego Letniego Festiwalu. Tym razem orkiestra pod dyrekcją Tomasza Tokarczyka towarzyszyła, dodajmy od razu – wspaniale, czwórce śpiewaków: solistkom naszej Opery Katarzynie Oleś-Blasze i Iwonie Sosze oraz śpiewającym gościnnie Arturowi Rucińskiemu i Arnoldowi Rutkowskiemu. Wspaniale jest to, że dyrektor Opery, Bogusław Nowak, konsekwentnie zaprasza artystów, którzy już zyskali międzynarodowy rozgłos, ale równie cieszy fakt, że nasi śpiewacy stając obok nich, wcale nie muszą mieć kompleksów. A tak prezentowały się krakowskie wspaniale solistki tego wieczoru. Czy ten koncert, z muzyką m.in. Wagnera, Gounoda, Donizettiego, Pucciniego, Mozarta, Czajkowskiego, Verdiego czy pieśniami tak popularnymi jak „Granada”, nie mógłby być ozdobą jakiegoś telewizyjnego wieczoru, nawet jeśli jego oglądalność była mniejsza niż występy głupków udających jeszcze głupszych? – że też, idąc śladem żony, naiwnie zapytam.

Jaga Wrońska, wokalistka od lat związana z Lochem Camelot, zaprezentowała w Piwnicy pod Baranami recital z piosenkami, które pow-

stały dzięki dopisaniu przez Monikę Partyk tekstów do muzyki Zygmunta Koniecznego – głównie filmowej, m.in. z „Jasminum”, „Porno-grafii”, „Prymasa”. Mimo nie najlepszej akustyki odebrałem ten wieczór z wielką przyjemnością. Monika Partyk z precyzją i poetyckim talentem zestroiła się z niełatwymi frazami kompozytora, dając Jadze Wrońskiej doskonały materiał do snucia opowieści. Oczywiście, muszą te interpretacje jeszcze dojrzeć, okrzepnąć, muszą zespolić się z wykonawczynią w jedno, ale bez wątplenia jest ten recital jej wielkim sukcesem. I oby potrafiła go wznieść na jeszcze wyższy poziom. Muzyka mistrza Koniecznego i literacki wkład Moniki Partyk w pełni na to pozwalają. Szkoda tylko ogromna, że wykonawczynie nie pamięta fundamentalnej zasady wielkiej Ewy Demarczyk – żadnego gadania pomiędzy piosenkami. Paplanina Kazimierza Madeja, jak i komentarze samej Jagi Wrońskiej nijak nie służyły tworzeniu nastroju, rażąco odstając od tego, co było istotą tego spotkania ze Sztuką. A swoją drogą, znów zadałem sobie pytanie: Jak daleką drogę do krainy Barbarii przeszliśmy w ciągu ostatnich paru dekad? Kiedyś pio-

senki Koniecznego były perłami radiowych anten. Czyż te nowe, usamodzielnione, które zeszyły z filmowej ścieżki, nie mogłyby, jak niegdyś „Taki pejzaż” czy „Tomaszów” cieszyć uszu radiosłuchaczy?

V Krakowskie Miniatury Teatralne rozpoczął spektakl „Ulica szarłatów”, czerpiący ze skarbczyka poezji KIG. Nic się nie starzeje ten Gałczyński, niezmiennie to rozrzuca, to bawi, zwłaszcza gdy wszelkie barwy i smaki są tak wydobyte, jak uczynili to twórcy wspomnianego przedstawienia – Jerzy Satanowski (scenariusz, reżyseria i kierownictwo muzyczne) oraz wybrani przez niego aktorzy: zjawiskowa Dorota Osieńska, Magda Kumorek, Magdalena Piotrowska, Margita Ślizowska, Arkadiusz Brykański, Wojciech Brzeziński i Zbigniew Zamachowski, wnikliwie wczytujący się w każdą frazę poety. Owacje na stojąco w pełni zasłużone.

Wieczór był zarazem okazją do wręczenia kompozytorowi przez wiceprezident Krakowa Magdalenę Srokę symbolicznego Klucza do miasta, z którym łączą „Satana” 40-letnie artystyczne związki, rozpoczęte w Starym Teatrze.

Tym razem pytań nie miałem.

Przegląd nowości

Wokalne piruety i inne akrobacje



Szczegóły

Opublikowano: poniedziałek, 14, lipiec 2014 18:52

Wokalizy i tryle uznać można za odpowiedniki skomplikowanych figur tanecznych w śpiewie, rodzaj wokalne akrobacji i ekwilibrystyki, których perfekcyjne wykonanie jednym zapiera dech w piersiach, a dla innych bywa przejawem pretensjonalności, a nawet złego smaku, zwłaszcza odkąd w teatrze muzycznym swe apodyktyczne prawa dyktować zaczął Richard Wagner. Przyznam się, że wyrządził on wiele szkód, kierując operę w ślepy zaułek, albowiem pierwszoplanowym czynnikiem pozostaje w niej muzyka, a nie słowo, którym do woli napawać się można w teatrze dramatycznym.



Ale koncert arii operowych w ramach XVIII Letniego Festiwalu Operowego rozpoczął się właśnie od muzyki przywołanego kompozytora. A więc uwertury do romantycznego jeszcze z ducha, a grand opery w formie „Rienziego, ostatniego trybuna”, którego autor później się wyparł i nie dopuścił na scenę swego teatru świątecznego w Bayreuth. Wagner nie był urodzonym melodystą, a więc, jeśli już jakąś złożył, to eksploatował do granic wytrzymałości odbiorców (np. pieśń konkursową Waltera wielokrotnie przewijającą się w „Śpiewakach norymberskich”, monolog towarzyszący wykuwaniu miecza Notunga w „Zygfrydzie”). Podobnie jest z motywem duetu Ireny i Adriana „Ja, eine Welt voll Leiden” z „Rienziego” wielokrotnie powtarzającym się zarówno w operze jak i już w samej uwerturze (w filmie „Lisztomania” Kena Russella tytułowy pianista, grając parafrazę tej uwertury, wykonuje jednocześnie w stronę obecnego na widowni Wagnera gest ziewania, oznaczający znudzenie nieustannym powrotem tego tematu). Niezależnie od wszystkiego pozostaje ona jednym z efektowniejszych utworów orkiestrowych tego autora.

Artur Ruciński zaśpiewał słynną Pieśń Wolframa „do gwiazdy” „O du mein holder Abendstern” z „Tannhäusera”, w której wrażliwy artysta wiele wygrać można nastrojem. Największym jednak różnicowaniem środków wyrazu odznaczała się w jego ujęciu aria księcia Jeleckiego „Ja was lublu” z „Damy pikowej” Piotra Czajkowskiego, w której to partii występował przed sześciu laty na scenie Opery Krakowskiej. Śpiewak miał w tym sezonie debiutować na deskach nowojorskiej Metropolitan w partii Walentego w nowej inscenizacji „Fauście” Gounoda, ale, niestety, ze względów oszczędnościowych premiera nie doszła do skutku, wskutek czego przyjdzie mu poczekać na kolejną okazję jeszcze dwa lata. Posiadający ten sam anagram tenor Arnold Rutkowski od najlepszej strony zaprezentował się w dwóch fragmentach z „Romea i Julii” Charles’a Gounoda kawatynie tytułowego bohatera „Ah, leve-toi, soleil” oraz duecie z Julią „O nuit divine”, w którym dołączyła do niego Katarzyna Oleś-Blacha.

Wcześniej z powodzeniem walca Julii „Je veux vivre dans le rêve” z tej opery zaśpiewała Iwona Socha, może więc najwyższa pora, by pomyśleć o wprowadzeniu na scenę Opery Krakowskiej tej pozycji repertuarowej i to koniecznie z dramatyczną arią Julii „L’amour ranime mon courage”, poprzedzającą zażycie przez nią

narkotyku, sprowadzającego podobny śmierci sen, albowiem artystka ta rozporządza głosem o znacznym ambitusie, pozwalającym zarówno na intonowanie koloratur, jak i sięganie do ustępów, utrzymanych w niższej i cięższej tessyturze.



Katarzyna Oleś-Blacha wywarła największe wrażenie w najodpowiedniejszej dla siebie koloraturowej arii Konstancji „Marten aller Arten” z Mozartowskiego singspielu „Urowadzenie z seraju”. Przede wszystkim jednak wieczór ten należał do Iwony Sochy, która, zarówno pod względem aparycji, jak i od strony wokalne, posiada wszelkie atrybuty, predestynujące ją do zajęcia pozycji operowej diwy. Szczególnie ujmująca zabrzmiało w jej interpretacji liryczne arioso Laurenty „O mio babbino caro” z „Gianniego Schicchi” Giacomo Pucciniego, w której najpełniej uwydatniła się jej umiejętność należytego prowadzenia kantyleny.



Obydwie panie dały się też poznać w duecie Hrabiny i Zuzanny „Che soave zeffiretto” z wykonywanego na co dzień „Wesela Figara” Wolfganga Amadeusa Mozarta, a panowie wystąpili w duecie przysięgi Don Carlosa i Markiza Posy z „Don Carlosa” Giuseppe Verdiego, dawno już niegospodzącego na krakowskiej scenie operowej. Udany wieczór, który dzięki przychylnej aurze mógł się wreszcie odbyć na wawelskim dziedzińcu, zakończył lżejszy repertuar pieśniarski, a ostatecznie zwieńczyło wspólne odśpiewanie „Tonight” z kolejnej wersji Szekspirowskiego „Romea i Julii”, tym razem musicalowej – „West Side Story” Leonarda Bernsteina.

Lesław Czapliński